№ 27.

Warszawa, dnia 26 Czerwca / 8 Lipca 1865 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* złp. 10, **na prowincji i w Cesarstwie** *półrocznie* złp. 25, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

JOANNA EYRE

POWIEŚĆ

PANNY BRONTE (CURRER BELL)

Z ANGIELSKIEGO.

(*Dokończenie*).

XXVI.

Rochester zatrzymał rękę w powietrzu i słuchał uważnie przez chwilę... W krótce jednak, jakby się opamiętawszy, zbliżył szklankę do ust, napił się, potem zapytał obojętnie:

— Wszak to ty jesteś, Marjo? to ty, wszak prawda?

— Marja jest w kuchni, odpowiedziałam, zaledwie mogąc mówić od wzruszenia.

Wyciągnął żywo rękę, ale napotkała tylko próżnię.

— Któż to jest?.. kto to? zapytał z niewypowiedzianym niepokojem, siląc się przejrzeć w ciemności oczami, które już nie miały wzroku. Ach! był to widok rozdzierający...

— Mów jeszcze!... niech cię usłyszę! zawołał znowu owym rozkazującym głosem, który mię dziś już nie raził.

— Czy mam jeszcze podać panu wody?

— Co to znaczy? któż to mówi do mnie?... jestemże doprawdy obłąkany?

Wyciągał rękę, szukając w koło siebie... Zatrzymałam ją i ścisnęłam w moich dłoniach.

— To jéj ręce, zawołał, to jéj drobne rączki... jéj ramię!...

I objąwszy mnie swoją silną ręką, tulił do siebie.

— To nie złudzenie... to Joanna! to jéj głos!...

— Tak, to jest ona, i jéj serce... Rochesterze, niechże cię Bóg pocieszy nareszcie... Jakżem szczęśliwa! jestem znowu z tobą.

— Więc to ona? powtarzał ciągle. To jest doprawdy Joanna Eyre, moja Joasia! Ona mówi, ona żyje!.. Ale wszakże tyle już razy śniłem, że mi wróciła, że mówiła kocham ciebie... czyż i to nie sen znowu?.. Ach! jeśliś tylko uroczą marą, jeśli masz niebawem ulecić jak ulatywałaś nieraz, niechże przynajmniéj usta twoje dotkną mojego czoła spalonego gorączką cierpienia.

— O! stań się wreszcie według twego żądania! zawołałam całując to czoło zawsze wspaniałe i te oczy, niegdyś tak pełne blasku, a dzisiaj zagasłe.

— Więc to ty jesteś?... wróciłaś?... nie zakończyłaś życia gdzieś na drodze, opuszczona, samotna?... nie zamieszkałaś daleko ztąd, wśród obcéj jakiéj rodziny?

— Nie, wszystko poszło inaczéj, dzisiaj jestem niezależna.

— Niezależna? cóż znaczy to słowo?

— Stryj mój umarł w Maderze i zostawił mi dziesięć tysięcy funtów szt.

— Wybornie! zawołał uradowany, cyfry, to mi już wyraźna rzeczywistość... Potrzeba mi tego było... to już nie sen przecie. Zresztą, wszakże to ten sam głos dźwięczny którego dziwne brzmienie rozbudza moje zdrętwiałe serce... Czuję już jak nowe życie w nie napływa... Więc jesteś dziś bardzo bogata, Joasiu moja?

— Ogromnie, panie mój kochany; do tego stopnia, że jeśli mi odmówisz przytułku u siebie, wybuduję sobie gdzie w sąsiedztwie dom na własność, i bę-

dziesz mógł przepędzać u mnie wieczory ilekroć ci się sprzykrzy samotność.

— Ależ twoi przyjaciele, Joanno, bo teraz ich masz zapewne, czyliż sądzisz że zechcą pozostawić ciebie przy starym ociemniałym zrzędzie, jakim ja dziś jestem?

— Wszakże już powiedziałam że się znajduję w położeniu całkiem niezależnem. Otóż, podoba mi się być twoją sąsiadką, pielęgnować cię, czytywać ci, słowem zastępować ci oczy i rękę. Bądź więc dobréj myśli, drogi mój panie; dopóki żyć będę, nie lękaj się już osamotnienia.

Nie odpowiedział mi, ale radośny wyraz jego twarzy nagle się zachmurzył. Zamyślił się, chciał niby mówić, ale się wstrzymał. Niepokój jego udzielił mi się, poczęłam się lękać czy nie uraziłam w nim skrytego uczucia delikatności, okazując się zbyt uprzedzającą. To co uczyniłam, pochodziło z niezachwianéj wiary że trwał w zamiarze poślubienia mnie. A jeśli się myliłam, jakże mu się dziwną musiała zdawać moja poufałość? Pod wpływem tych myśli, poczęłam odsuwać się powoli, ale mię przycisnął jeszcze silniéj do siebie.

— O nie! nie, Joanno, zawołał, ty już nie odejdziesz. Twoja dłoń ścisnęła moją, dźwięk twojego głosu napoił rozkoszą moje ucho, a dusza rozradowała się słowami pociechy które w nią twoja przelewała... nie podobna mi już wyżyć bez tego... Pozostało mi tak mało ze mnie samego, tyś mi koniecznie potrzebna. Niech świat ze mnie szydzi, jeśli mu się spodoba, niech wyśmiewa moje samolubstwo i szaleństwo... moja dusza pragnie ciebie, a gdybym jéj żądaniu zadosyć nie uczynił, któż wie coby się ze mną stało?...

— Wszakże powiedziałam że tu zostanę?

— Tak, słyszałem to... Ale na jakich warunkach? Chcesz mię otoczyć staraniem, a w zamian spodziewasz się odemnie ojcowskich już tylko uczuć... I w istocie, tyś tak młoda... wyjdziesz za mąż...

— Nie myślę o tem wcale.

— Trzeba o tem myśleć, Joanno. Ach! gdybym był jeszcze tem czem byłem kiedyś, sprobowałbym zwyciężyć tę dumną obojętność... Ale dzisiaj, ociemniały, bezwładny, noszę już tylko resztki dogasającego życia w znękanem i okaleczałem ciele.

Tu wpadł znowu w ponure zamyślenie, ale nie przerażało mnie już ono, odkąd znałam tajemnicę jego duszy.

— Czy wiesz, rzekłam niby żartując, że byłby ci już może czas przybrać nieco więcéj ludzką postać, albowiem z temi długiemi poczochranemi włosami, masz nieco podobieństwa z Nabuchodonozorem. Doprawdy, są to niby nastrzępione pióra orle... a może znajdą się i szpony?

— U téj ręki, niemam ani szpon, ani nawet dłoni, odpowiedział z boleśnym uśmiechem. Został mi tylko obrzydliwy kawał kości...

To mówiąc, dobywał jéj zwolna z zanadrza.

— Jakiż ból ściska mi serce na ten widok! zawołałam. Jakąż litością przejmują mię te biedne ociemniałe oczy i to czoło zorane głęboką blizną!... Ale mimo tego jesteś kochany jak wprzódy i więcéj może jeszcze, pomimo tego wszystkiego.

Potem, dodałam szybko, chcąc przerwać jego wzruszenie.

— O któréj godzinie jadasz wieczerzę?

— Nie jadam jéj wcale teraz.

— Otóż, będziesz jadł dzisiaj, bom bardzo głodna. Zadzwoniłam, a skoro ukazała się Marja, wydałam jéj stosowne rozporządzenia. Wieczerza została nam wkrótce podana i rozmowa nasza przybrała niedługo nastrój poufały jaki niegdyś miewała. Moje serce było przepełnione radością, a umysł całkiem swobodny. Unikając starannie wszystkiego co by mogło zasmucić mojego ukochanego pana, zwracałam rozmowę ku rzeczom najpowszedniejszym i przypominam sobie że przerwałam mu raz wspomnienia chwil zbyt dotkliwie boleśnych, prosząc aby mi pozwolił rozczesać cokolwiek swoje poplątane włosy.

— Więc jestem doprawdy bardzo szpetny, Joanno? zapytał z wyraźnym niepokojem.

— Nie byłeś mi nigdy piękniejszym, odpowiedziałam, nie tając już więcéj moich uczuć, tak jak to bywało w najszczęśliwszych czasach naszéj miłości.

Wkrótce jednak, musiałam się udać na spoczynek, gdyż podróż i świeżo doznane wrażenia zmęczyły mnie niewypowiedzianie. Kiedy nazajutrz weszłam z rana do mojego dawnego pana, twarz jego miała znowu tenże sam wyraz zmęczenia i wewnętrznego niepokoju który na niéj dnia poprzedniego zastałam. Miałam zamiar pokazać mu się wesołą, ale łzy stanęły mi w oczach na widok skrępowanéj siły tego potężnego ducha, pożerającego samego siebie. Jednak, potrafiłam zmusić się do przywitania go z pozorną swobodą i do rozmawiania z nim o piękności poranku, o świeżéj woni lasów, o przechadzce którą mieliśmy odbyć razem.

— Ach! otóż cię znowu witam, mój miły skowronku! zawołał, orzeźwiony mojemi słowami, niby gasnąca lampa, któréj dolano oleju. Chodź tu... więc nie uleciałaś? cudne widzenie moje nie rozwiało się?... Czy wiesz że już od godziny przeszło, słucham szczebiotania któregoś z twoich skrzydlatych braci, polatującego tu gdzieś po nad drzewami... ale piosnka jego nie więcéj miała dla mnie uroku, jak go ma wschodzące słońce dla moich dzisiejszych oczu. Wszystkie dźwięki świata zbiegły się dla mnie w twoje usta, a moje słońce, moje ciepło jedyne, to czuć ciebie przy mojem sercu.

To rozrzewniające wyznanie zależności na jaką był skazany od losu, wycisnęło łzy z moich oczu. Zdawało mi się widzieć orła, króla ptaków, przykutego do grzędy i zmuszonego żebrać pomocy u lichego wróblika. Potrzeba mi jednak było dotrzymać uczynionéj sobie obietnicy, byłam tedy wesołą, pustą, żartobliwą. Po śniadaniu, wyprowadziłam Rochestera z tego pokoju podobnego do grobowca, na świeże powietrze, na otwarte pole, bawiąc go mojemi opowiadaniami, uwagami i wesołemi żartami. Wreszcie doszliśmy do cienistego ustronia, gdzie mu wybrałam miejsce do wypoczynku, na zeschłym pniu na którym usiadłam obok niego. Ręka jego objęła mię, jakby się lękał żebym nie odeszła. Czemuż bym ją miała odpychać, kiedy szczęściem nam było obojgu czuć się jedno przy drugiem? Sternik położył się u naszych nóg. Milczenie panowało przez chwil kilka; z nagła, Rochester przycisnął mię silniéj do siebie i zawołał:

— Byłaś okrutna, o tak, okrutna! porzucając mnie w ten sposób. Ach Joanno, gdybyś ty wiedzia-

ła co uczułem kiedym się dowiedział żeś uciekła... żeś znikła bez śladu, nie zabrawszy nic z sobą, porzuciwszy nietknięte wszystkie te paki przygotowane, na naszą podróż! Cóż pocznie moja biedna Joanna, mówiłem sobie z rozpaczą, bez pieniędzy, sama jedna?.. Ale w istocie, powiedz, cóż się z tobą wtenczas stało?

Musiałam tedy opowiedzieć wszystko co mnie spotkało w ciągu upłynionego roku, łagodząc jednak o ile możności opis owych trzech dni okropnych w których przyszło mi walczyć zarazem z głodem i z rozpaczą. Na cóż mi było rozdzierać to serce, tyle mnie kochające? To czego nie mogłam zataić było już dostateczne aby je zranić aż nadto boleśnie.

Wymawiał mi, że nie zaufałam jego miłości tyle, ile na to zasługiwała. Upewniał mnie, że niebyłby nigdy usiłował zniewolić mię do pozostania, i niezawodnie, słowa te były szczere, jakkolwiek może w tym razie sam siebie łudził.

W dalszym ciągu mojego opowiadania, uderzyło go nazwsiko Saint-Johna, często powtarzane. Wkrótce, poczęło mu się stawać przykrem, budząc w nim zazdrosne obawy.

— Zdajesz się wysoko cenić tego pastora, rzekł nieco sucho. Jakiegoż to rodzaju był człowiek?

Szczegóły jakich musiałam mu udzielić o wieku, powierzchowności i zdolnościach Saint-Johna, nie miały w sobie nic coby go mogło uspokoić, ztąd wyraz jego twarzy stawał się coraz bardziéj ponury im daléj posuwał swoje zapytania, a kiedy mu powiedziałam, że młody pastor z Morton nie miał ani nudnéj sztywności, ani niezgrabnego obejścia zwykle cechującego ludzi jego stanu; że się ubierał starannie, że miał rysy Antinousa, piękne oczy błękitne i szlachetną postać, spostrzegłam już wyraźne w nim nieukontentowanie. Z kolei przyszło mi mówić o zajęciach Saint-Johna, o godzinach które spędzaliśmy razem przy nauce udzielanéj mi przez niego.

— Czy uczył i swoje siostry języka indyjskiego? zapytał Rochester.

— Nie.

— Więc tylko ciebie?

— Tylko mnie.

— Zamilkł, a twarz jego coraz bardziéj się zasępiała. Wreszcie rzekł:

— Z kądże tak zawzięte nauczycielstwo? Na cóż się mógł przydać ten język?

— Na mój własny użytek w Indjach, dokąd mię chciał zabrać z sobą.

— A... rozumiem... teraz mam klucz do wszystkiego. Chciał się z tobą ożenić... Czy wiesz Joanno, ten Rivers nie jest jednak mężem do odrzucenia... Zamyślasz zapewne wrócić do niego... późniéj... skoro się już nieco oswoisz z mojem nieszczęściem?

— Wcale o tem nie myślę.

— Jednakże, jeśli jest tak pięknym, świętobliwym, o tyle wyższym od innych ludzi... jeżeli jest, jak powiadasz, prawdziwem uosobieniem chrześcjańskiego apostoła... jeśli posiada istotnie owe rysy greckie, ową natchnioną wymowę... w takim razie... nie jestem dosyć szalony żebym sobie wyobrażał... Proszę cię Joanno, odejdź sobie...

— Dokądże mam pójść?

— Do męża którego wybrałaś.

— Któż to taki? radabym wiedzieć...

— O ile umiem zgadnąć, to Saint-John Rivers.

— Nigdy. On nie może być moim mężem. Ani on mnie nie kocha, ani ja jego. Ile umie kochać, kocha młodą i piękną dziewicę, któréj przecież nie opłakał ani łzą jedną, kiedy oddawała innemu swą rękę, chociaż od niego tylko zależało ją poślubić. We mnie widział on tylko uosobienie małżonki, jakiéj potrzeba dla missyonarza, a i w tem mylił się bez wątpienia. Jest to duch wzniosły i dobry, ale surowy i zimniejszy od lodu. Ten człowiek nie jest w niczem podobny do ciebie, nie czuję się nigdy przy nim szczęśliwą, ani nawet swobodną. Ja także nie mam dla niego żadnego uroku, zaledwie mi przyznaje niejakie zdolności umysłowe, w których przewiduje pewną korzyść dla siebie w danym razie... Czyliż mi jeszcze każesz wracać do niego?

Wymawiając te ostatnie wyrazy, drżałam mimowolnie i tuliłam się coraz bardziéj ku niemu. Uśmiechnął się, przyciskając mnie do swego serca, ale po kilku chwilach, twarz jego zachmurzyła się znowu.

— Moje biedne, moje wypalone oczy! rzekł z cicha z wyrazem rozpaczy... moja siła, złamana, zniszczona na zawsze!...

Starałam się czułemi słowami rozerwać go w smutnych myślach, które aż nadto dobrze umiałam odgadnąć. Przez chwilę, zwrócił twarz ku mnie, wtedy, dostrzegłam łzę dobywającą się z pod jego zamkniętych powiek i spływającą zwolna po twarzy. Serce ścisnęło mi się na ten widok. Po chwili rzekł z westchnieniem.

— Nie wiele więcéj wart jestem dzisiaj od starego dębu strzaskanego przez piorun. Jakimże prawem miałbym przykuwać do ruiny ów bluszcz okryty kwiatem, którego świeża zieloność służyłaby tylko do zasłonienia dzieła zniszczenia?

— Nie jesteś ruiną kochany mój panie, ani też drzewem strzaskanem od pioruna. Jesteś jeszcze pełen życia, i potrafisz dać opiekę młodéj latorośli, która będzie żyła pod twym dobroczynnym cieniem... A kiedy się rozkrzewi, zwiesi swe gałęzie po nad opiekuńczem drzewem, które jéj było kiedyś podporą i otoczy je sobą, aż je wreszcie całkiem oplecie...

— Ach! Joasiu moja, zawołał, ty posiadasz dar pociechy... Ale powtarzam ci, nie... ty nie możesz być moją żoną.

— Nie zamyślasz jednak pozostać wdowcem?

— Joanno, jakież jest twoje zdanie w tym względzie? Chcę się trzymać... ściśle... tego co ty postanowisz.

— W takim razie... pomyśl pan o małżeństwie, odrzekłam nieśmiało.

— Ale kogóż mam wybrać?... nie odmawiaj mi i w tem swojéj porady.

— Kogo? dziwne doprawdy pytanie... Nie inną przecię kobietę, jak tę która cię najwięcéj kocha.

— Czyli, którą ja najwięcéj kocham... Więc tedy, Joasiu moja, tybyś się zgodziła zostać moją żoną?... doprawdy... na pewno?

— Najniezawodniéj, czyliż mogłeś o tem wątpić?

— Żoną tego ślepego nędzarza, którego twa ręka będzie musiała prowadzić? tego kaleki starszego od ciebie o lat dwadzieścia, nad którym będziesz zmuszona czuwać nieustannie.

— Tak jest panie.

— Doprawdy?

— Powiedziałam najszczerszą prawdę.

— O mój drogi anele błogosławiony, niechże ci Bóg wynajdzie nadgrodę w swojéj wszechmocności!

— Edwardzie, rzekłam głęboko wzruszona, wierzaj słowom które wyrzekłam. Jeżelim kiedy w życiu uczyniła cobądź, coby zasługiwało na zapłatę nieba, jeśli zrodziła się kiedy we mnie jaka myśl cnotliwa, jaka nadzieja godna łaski Bożéj, lub modlitwa dosyć czysta aby się mogła wznieść ku Niebu... wszystko to jest mi już zapłacone w téj chwili. Być twoją żoną, jest dla mnie najwyższem szczęściem jakiego mogłam pragnąć na téj ziemi.

— Rozumiem cię, Joanno moja, dusza twoja bohaterska znajduje upodobanie w najtrudniejszych ofiarach.

— Nie, uczucie które mną kieruje jest więcéj samolubne. Chciéj resztę sam odgadnąć, gdyż nie mam ochoty przyjść ci w pomoc tą razą.

— Więc skoro mię tyle ośmielasz, stanę się od razu bardzo wymagający. Nie widzę potrzeby najmniejszéj zwłoki co do naszego połączenia; za trzy dni możemy mieć indult, zdaje mi się że dziś jest Piątek, w przyszły Wtorek będziesz moją żoną. Co zaś do ślubnych podarunków i klejnotów, darujesz jeśli w braku czasu nie będę ci mógł ofiarować jak tylko jeden. Znajdziesz go na mojéj szyi, pod chustką; to jest twój naszyjnik z pereł, który zostawiłaś opuszczając Thornfield. Nie rozstawał się ze mną od dnia w którym postradałem mój skarb ukochany.

— Zgoda na to mój drogi... poproszę cię o niego w przyszły Wtorek.

— Joanno, mówił daléj Rochester, jakże głęboką wdzięcznością jestem przejęty dla Opatrzności, ja któregoś sądziła być niedowiarkiem. Nie słabym wzrokiem człowieka widzi Bóg wszechmocny, ani też sądzi według niedołężnéj i mylnéj mądrości naszéj. Przygotowałem rozmyślnie uczynek za który się dzisiaj rumienię, byłem już jak najpewniejszy jego spełnienia... Bóg inaczéj rozporządził. Zakamieniały, daleki od pokory, przeklinałem surową karę tak słusznie mi wymierzoną; zamiast się jéj poddać, wyzywałem rękę która mię karciła. Ciężała też ona coraz bardziéj nademną, aż mię nareszcie złamała ostatecznym ciosem. Bóg potrafił zniszczyć do tyla tę siłę którą się zbytecznie chełpiłem, że dzisiaj jestem na łasce lada dziecięcia, bo każde może mnie skrzywdzić, i każde stać się niezbędną pomocą. Wtenczas dopiero upadłem na kolana, i jakkolwiek zbyt późno, żałowałem za winy i zapragnąłem gorąco pojednać duszę ze Stwórcą, a żal mój znalazł miłosierdzie przed Jego obliczem. Posłuchaj mię z uwagę, opowiem ci dziwne zdarzenie które utwierdziło jeszcze silniéj moją wiarę.

XXVII.

— Temu dni kilka, nie umiem powiedzieć dokładnie ile, ale było to podobno w zeszły Poniedziałek, późnym już wieczorem, cierpienie moje uległo dziwnéj przemianie. Co było dotąd wściekłą rozpaczą, stało się smutkiem, rozjątrzenie ustąpiło miesca głębokiemu znużeniu. Od dawna byłem przekonany, że chyba jedna śmierć mogła cię ukryć przed niezmordowanemi mojemi poszukiwaniami. Tego tedy wieczoru... około północy, zanim poszedłem szukać spoczynku wiecznie stroniącego odemnie, błagałem Boga z głębi duszy, aby mnie raczył wkrótce powołać do tego wyższego świata, gdzie mi będzie może danem spotkać moją Joannę. Siedziałem wtedy przy otwartem oknie, uspokojony nieco łagodnem wrażeniem woniejących powiewów nocy, i chociaż nie widziałem księżyca, odgadywałem jednak jego jasność z jakiegoś niewyraźnego blasku, który oczy moje niby dostrzegały. Samotny wśród nocnéj ciszy, biegłem myślą ku tobie, Joanno, i niewypowiedziane pragnienie połączenia się z tobą, owładnęło moją duszę, napełniając ją dotkliwą tęschnotą. W pokorze ducha, porównywałem siebie z marnym robaczkiem zdeptanym nogą przechodnia, i zapytywałem Boga, ażali męka moja nie trwała już dosyć długo, i czyli nie zaznam już nigdy na ziemi jeśli nie szczęścia, to chociaż spokoju? Uznawałem że kara była zasłużona, ale niewypowiedziane jakieś przeczucie mówiło mi, że miara moich cierpień mogła się dopełnić, i wszystkie pragnienia, wszystkie tęsknoty mojéj duszy, wyraziły się w téj chwili w całéj swojéj pełni, temi słowami które mimowolnie z niéj wybiegły; Joanno! Joanno! Joanno!

— Jakto? wymówiłeś głośno te słowa?

— Tak jest, i każdy coby je był usłyszał, byłby mnie miał za człowieka obłąkanego, tyle w nich było ostatecznéj rozpaczy i jakiejś nadprzyrodzonéj siły.

— A działo się to... zeszłego Poniedziałku? przed północą?

— Tak jest... przypominam sobie, zegar wybił wkrótce dwunastą... Ale mniejsza tu o godzinę. Co było w tem najdziwniejszego, co zaledwie śmiem opowiedzieć, lękając się żebyś mnie nie sądziła osłabionym na umyśle, to że w chwili kiedy po raz trzeci wymawiałam twoje imię,—jakiś głos nie wiedzieć z kąd pochodzący, ale w którym natychmiast poznałem twój głos, odpowiedział mi. „Jestem!... idę do ciebie!“ A nieco późniéj, dosłyszałem jeszcze, ale już mniéj wyraźnie, niby daleki powiew te słowa „Gdzież jesteś?“ Nie umiem wyrazić do jakiego stopnia to złudzenie,— bo wszakże musiało to być złudzenie,—dotknęło żywo moje zmysły. Wiesz sama że Ferndean otaczają zewsząd gęste lasy, zaczem wszelki odgłos zamiera tam stłumiony na miejscu i nie rozlega się daléj. Tymczasem te ostatnie słowa zdawały się pochodzić z daleka i dźwięk ich roztrącał się niby o pobliskie góry... Powiew wiatru stał się też chłodniejszy i zdawało mi się być wśród jakiejś dzikiéj doliny, w miejscu całkiem mi nowem... Joanno moja,—tyś pewnie spoczywała w tedy uśpiona, ale może dusza twoja, rzuciwszy chwilowo ziemską powłokę, szukała mojéj aby ją pocieszać, bo głos ten był twoim niezawodnie... wierzę w to jak wierzę że jestem żywy w téj chwili.

Z jakże silnem wzruszeniem, słuchałam tego opowiadania które mi tłómaczyło nareszcie tajemnicze wezwanie jakie usłyszałam wtejże saméj chwili! Ale zrozumiałam je; był to głos dusz naszych, wydobyty jednem gorącem uczuciem, jednem pragnieniem tęschniącego serca, w potędze swojéj nie osłabionego żadnem zimnem wyrachowaniem, często tłumiącem głos, natchnieniem przemawiający do ludzi. Tak

zaiste, była to rzeczywistość, nie żadna ułuda. I Niektórzy może się uśmiechną z politowaniem...? biedni! babrząc się w pyle ziemskim, nie dla nich co święte i wielkie, nie dla nich co siłą czucia wydobyte, nie da się ująć w zwyczajne formułki ludzkiego rozumku.

Nie chciałam jednak wyjawić Rochesterowi tego cudownego spotkania naszych dusz, lękając się zbyt silnego wrażenia dla jego umysłu i tak już dosyć żywo uderzonego.

Skończywszy, powstał dla odmówienia pół-głosem krótkiéj modlitwy, potem wyciągnął rękę przed siebie, wskazując w ten sposób że chciał abym go prowadziła. Wzięłam tę ukochaną rękę i ucałowałam ją, potem oparłam ją na mojem ramieniu, i tak, służąc za przewodnika i zarazem za podporę, zaprowadziłam go do Ferndean-Manor.

. . . .

W kilka dni potem zostałam żoną Edwarda Rochestera. Obrzęd naszego ślubu nie miał innych świadków nad pastora i zakrystyana. Wróciwszy z kościoła, poszłam do kuchni gdzie Marya z Janem byli zajęci koło obiadu.

— Moi dobrzy ludzie, rzekłam, przychodzę wam powiedzieć że jestem już żoną waszego pana, pobraliśmy się przed chwilą i oto wam przynoszę nasz ślubny podarunek.

To mówiąc, położyłam na stole papierek pięcio funtowy. Ale nie zwrócili nań uwagi, tylko patrzyli na mnie z zadowoleniem i Marya rzekła wesoło:

— Czy doprawdy, pani?.. to i chwała Bogu; widziałam jakieście państwo wychodzili, ale co prawda, anim się domyślała że idziecie do ślubu.

— Już to co ja, dorzucił Jan, śmiejąc się od ucha do ucha, tom wiedział od dawna co się święci, a na mój rozum, to bardzo mądrze sobie w tem poradził pan Edward.

To rzekłszy, skłonił mi się, sięgając ręką do czoła, ale ponieważ nie mógł zdjąć czapki, bo jéj nie miał na głowie, odgarnął tylko włosy które mu spadały na czoło.

. . . .

Zawiadomiłam natychmiast szczegółowo moją przybraną rodzinę, o nowéj przemianie jaka zaszła w moim losie. Diana i Marya odpisały mi niezwłocznie, pochwalając bezwarunkowo to co uczyniłam. Co do Saint-Johna, nie wiem w jaki sposób przyjął tę wiadomość, bo nie odpowiedział mi wcale, dopiero w sześć miesięcy odebrałam od niego list, ale w nim nie czynił już żadnéj wzmianki o Rochesterze, ani o mojem nowem położeniu. List ten był treści poważnéj, tchnął jednak pewnem uczuciem przyjaźni, we względnem znaczeniu tego wyrazu. Odtąd nasze stosunki piśmienne, jakkolwiek rzadkie, utrzymywały się jednak bez przerwy.

Zaraz po ślubie, pierwszem mojem staraniem było odwiedzić Adelę na pensyi gdzie była umieszczoną. Radość z jaką mnie powitała, rozrzewniła mię do głębi serca. Zastałam ją mizerną i przekonałam się że wykład nauk był w istocie zbyt dla niéj utrudzający. Zabrałam ją tedy z sobą, chcąc się sama zająć jéj wychowaniem. Ale to było niepodobnem, cały czas mój należał już teraz do istoty, która mnie potrzebowała w każdéj chwili i któréj oddawałam siebie całą z uczuciem niewymownego szczęścia. Wypadło mi więc szukać dla Adeli innego zakładu, bardziéj dla niéj stosownego, Znalazłam go w pobliżu, mogłam tedy odwiedzać często moją przybraną córkę i czuwać nad dalszem jéj wykształceniem. Dzisiaj skończyła już nauki i mam w niéj miłą i łagodną towarzyszkę, któréj serce płaci mi hojnie za starania około jéj początkowego wychowania podjęte i za przywiązanie jakie dla niéj czuję.

Tu dzieje mojego życia zbliżają się już do swego kresu. Od lat dziesięciu jestem żoną Rochestera, i zarazem najszczęśliwszą kobietą na ziemi. Jedno serce bije w nas obojgu, jesteśmy sobie nawzajem dopełnieniem jedno drugiego, „ciało ciała, kość kości,“ jak powiada Pismo.

Przez pierwsze dwa lata naszego pożycia, Edward był całkiem pozbawiony wzroku, a nieszczęście to ścisnęło jeszcze bardziéj węzły które nas łączyły. Widział wszystko mojemi oczami, przezemnie zachowywał stosunek z przyrodą, równie jak ze światem umysłowym, ja zaś znajdowałam nieustanny dowód miłości w zaufaniu, z jakim owa dusza tak harda domagała się odemnie, nie widząc w tem dla siebie upokorzenia, wszystkich posług których by od nikogo innego nie przyjęła.

Po upływie tych dwóch lat,—pewnego poranku,— kiedy pisałam list dyktowany mi przez Edwarda stojącego przy mojem krześle, schylił się znagła ku mnie i rzekł:

— Joasiu, czy nie masz ty na szyi czego błyszczącego?

— W istocie, odpowiedziałam, mam złoty łańcuszek.

— A twoja suknia... czy nie jest jasno błękitna?

Tak było, w saméj rzeczy. Opowiedział mi wtedy, że od niejakiego już czasu, zdawało mu się jakby się poczynała usuwać mgła, która jego wzrok zaciemniała; teraz dopiero wierzył że to nie było złudzenie.

Nazajutrz, wyjechaliśmy do Londynu, gdzie starania biegłych lekarzy, przywróciły mu prawie zupełnie wzrok w tem oku, które było zasłonięte skutkiem silnego zapalenia. Nie może wprawdzie dotąd rozróżniać drobnych przedmiotów, trudno mu pisać lub czytać nieco dłużéj, ale potrafi już obejść się bez przewodnika i świat przestał być mu ciemną i ponurą pustynią.

Kiedy trzymał po raz pierwszy na ręku naszego syna pierworodnego, mógł zobaczyć że dziecię odziedziczyło po nim jego czarne oczy, niegdyś tak pełne blasku. W tym dniu, uchylił korne czoło przed tym Bogiem, który umie łagodzić sprawiedliwość najsurowszych swoich wyroków darami przewyższającemi nasze zasługi.

Każdego roku, odwiedzamy lub przyjmujemy u siebie nasze kochane kuzynki. Marya poślubiła przyjaciela swego brata, pastora wielce zacnego i człowieka niepospolitych zdolności. Diana zaś, ta którą serce moje najbardziéj ukochało, połączyła się z oficerem od marynarki i znalazła w tym związku szczęście, którego była tyle godną. Co zaś do Saint-Johna, ten poszedł drogą przez siebie obraną. Opuścił Anglję i przebywa dotąd w Indyach. Z pomocą wytrwałéj wiary i niezmordowanéj pracy, umiał pokonać rozliczne przeszkody i znieść trudy i niebezpieczeństwa wszelkiego rodzaju. Wzniosłe to i szlachetne serce, każde jego uderzenie należy do całéj ludzkości, a jeśli

istnieje w nim żądza wywyższenia się, to nie podobna uważać ją tu za ułomność, skoro potrafiła zrodzić tak wielkie poświęcenie i tak wytrwałe męztwo.

Nie potrzeba mi dodać że Saint-John nie ożenił się i nie ożeni się nigdy. Dotąd potrafił sam podołać chlubnéj pracy któréj kres zdaje się bliskim. Ostatni list który od niego odebrałam, napełnił moje serce świętą radością, jakkolwiek i łzy wycisnął. W każdem bowiem jego słowie, przebijała pewność otrzymania już wkrótce nieśmiertelnéj korony wybranych, jako uwieńczenie żywota którego każda chwila była zasługą. Przeczuwam że za dni niewiele, inny list, obcą napisany ręką, doniesie mi że ów wierny i gorliwy sługa, został już powołany na łono swojego Pana. A czyż by się godziło tem zasmucić? Żadna trwoga nie zachmurzy pewnie ostatniéj godziny świętego missyonarza. Umysł jego pozostał spokojny, wiara niezachwiana, nadzieja gorąca, chociaż cierpliwa. Któż więc może pragnąć piękniejszego zgonu, po żywocie chlubniéj spełnionym? Zamykając te wspomienia z młodego wyniesione wieku, winnam jeszcze słówko usprawiedliwienia, że je ogłaszam drukiem. Ale czyż ciężką walkę obowiązku z przeciwnościami, którym przy woli Bożéj nie uległam, chociaż tak ponętnie nęciły, miałamże okrywać tajemniczością? Nie dla każdéj zapewne nagroda tak świetna przeznaczona, ale przystań moralnego szczęścia do jakiéj ja wreszcie doszłam, dla każdéj wejście szeroko roztwiera. Trochę więcéj lub mniéj złota różnicy tu żadnéj nie stanowi. Do téj przystani zapraszam wszystkie moje siostry, zacność serca i duszy wskaże im drogę, krzyż pokrzepi, a wiara da nieprzebity puklerz przeciw kolcom i bólom ziemskim. Stanie na straży obowiązku i godności własnéj, to powinność i przeznaczenie kobiety, bo gdy z wolą Bożą zostanie głową rodziny, ją zrobi podobną sobie, a ludzkość jéj odbiciem.

Nie gardźcie więc skromnem opowiadaniem, a duch Boży niech zamieszka między Wami i całą społeczność przemieni w jedną Bożą czeladkę.

ZATARGI O POMORZE

WŁADYSŁAWA ŁOKIETKA Z KRZYŻAKAMI.

(Dokończenie).

Papież Jan XXII poruszony skargami Krzyżaków, przedstawiającemi groźne niebezpieczeństwa pogańskiéj Litwy, łączącéj się przeciw nim z chrześcjańskiemi potencjami, idąc za popędem swego wieku, ogłosił wyprawę Krzyżową na wojowanie pogaństwa, i wezwał całe rycerstwo do uczestniczenia w tak świętem przedsiewzięciu.

Ze wszystkich więc stron, wojownicy pospieszali do Marjenburga ówczeźnéj stolicy zakonu. Każdy ożywiony religijnemi pobudkami biegł z poświęceniem swego życia, zdrowia i mienia, pewny że mieczem zdobędzie sobie łaskę Bożą na dalsze dni żywota, albo koronę męczeńską w niebiesiech, jeżeli mu przyjdzie głowę położyć na pobojowisku. Ale duch ten panował tylko pomiędzy uboższemi rycerzami; w warstwach społecznych z nich złożonych przenikała wiara głęboka, nie udana, w świętość wyprawy, głosem Rzymu w imię Chrystusa przedsiewziętéj. Dlatego porzucano rodziny, zajęcia, dostatki, a chwytano za miecz, zapominając że słowo apostolskiego namaszczenia, rozchodziło się po świecie głoszone, nie przez kraty żelaznych chełmów, i przy szczęku oręża, ale w objęciach miłości, braterstwa, popieranych czynami prawdziwie chrześcjańskiemi.

Rycerze możni, i ówczasowi władcy ziem i ludów, wyzuci z téj naiwnéj prostoty, stanowiącéj wyborny materjał dla ludzi umiejących go użyć, szli także i z chęcią nawet, ale każdy w widokach własnych, zyskania większéj władzy lub bogactwa. Krzyżakom szło głównie o osłabienie Łokietka, wzmocnionego niezmiernie związkiem z Gedyminem, którego pokonanie, otwierało ziemię Polski na zupełną niemal wolę Krzyżaków; Janowi zaś królowi Czech, naznaczonemu przez Papieża naczelnym dowódcą całéj wyprawy Krzyżowéj, szło o wygnanie Łokietka i przeniesienie korony na swoją głowę, jakoby mu przynależnéj po śmierci Wacława króla Czech i Polski. Że umowa między Krzyżakami a Janem w przedmiocie tym była zrobioną, to nie podpada żadnéj wątpliwosci, ale że nie myśleli jéj dotrzymać, to także można być pewnym, znając chytrość zakonu, nieprzebieranie w środkach i stawianie po nad wszystko, własnego interesu. Aby jednak plany te doprowadzić do skutku, przedewszystkiem trzeba było zgnieść Gedymina, zająć jego ziemie, a potem dopiero obrócić się na Łokietka, który tak obsaczony ze wszystkich stron, musiałby uledz i tem zakonowi zapewnić nad sobą zupełny tryumf. Gdy więc rzeczywiście olbrzymie gromadziły się siły pod przewództwem króla Czeskiego, dochodzące w saméj ciężkiéj jeździe do osiemnastu tysięcy, oprócz szeregów pieszych i potężnych sił zakonu, Łokietek jak to mówią, także nie zasypiał sprawy, i pomimo rocznego zawieszenia broni, sposobił się o ile mógł tylko, powiększając zbrojne szeregi swych wojowników. Przenikliwym bowiem rozumem przeczuwał przyszłe niebezpieczeństwo, i zapobiegając mu, byłby chętnie pomagał Gedyminowi, ale wyprawa w myśli Bożéj przedsiebrana, miała na celu pogaństwo, wyrwanie kroci dusz z mocy szatana, chrześcjańskiemu więc królowi i rycerzowi, nie wypadało wydobywać miecz, przeciw zbrojnym apostołom, zwłaszcza że i tak był zniesławiony przed Europą, za łączenie się z poganami. Łokietek więc w pokoju, w ciszy, patrzył na rozwój wypadków, przysposabiał się, zbroił i słał po wieści na litewskie ziemie, które z każdym gońcem stawały się coraz bardziéj niepokojącemi.

Krzyżowa bowiem wyprawa obejmowała sam dobór najbitniejszego rycerstwa, dla którego zbroja i miecz były zwykłym strojem, a ciągła bójka zatrudnieniem. Przytem wyższa oświata jaką zawsze zachód Europy słynął, zwłaszcza od czasu zabezpieczenia się przed

wylewem barbarzyństwa, nowo uorganizowanemi społeczeństwami, wpłynęła także korzystnie na sztukę wojowniczą, któréj naturalnie Litwa znać nie mogła. Tak więc Gedymin był słabszym od Krzyżowników zarówno liczbą jak wyćwiczeniem, i napierany, bity, niszczony na każdym kroku, z dniem każdym w coraz rozpaczliwsze wpadał położenie. Łokietek pragnąc koniecznie wydźwignąć z toni tak użytecznego dla siebie sprzymierzeńca, pomimo trwającego jeszcze rozejmu i zimowéj pory, w Styczniu roku 1329, wkroczył do ziemi chełmińskiéj i zagrażając zabraniem całego Pomorza, tak tem pomięszał szyki Krzyżakom, że ci blizcy już zupełnego pobicia Gedymina, i zagarnienia Litwy, czemprędzéj zmuszeni byli pospieszać do obrony własnych posiadłości. Łokietek tego tylko pragnął, i zaraz potem cofnął się za Wisłę zatrzymując się niedaleko Dobrzynia.

Gniew Krzyżaków, którym nowa i tak upragniona zdobycz już prawie z ręki wyrwaną została, nie miał granic, a dysząc zemstą postanowili wspólnie z Janem Czeskim, stanowczą zgubę Łokietka, człowieka jak powiadali, bez czci i wiary, nie szanującego umów, i broniącego pogan których winien wojować. Natychmiast więc wspólnie z Janem opanowali ziemię Dobrzyńską, potem wzięli Płock stolicę Mazowsza i zmusili Książęcia Wacława do złożenia Janowi hołdu, jako niby zwierzchniczemu swemu panu. Potem król Czeski zawsze mianując się królem Polski, darował Krzyżakom na wieczystą własność Pomorze i ziemię Dobrzyńską, i odebrawszy przyrzeczenie wypłaty sobie 4,800 grzywien, opuścił plac boju spiesząc do własnych posiadłości.

W parę miesięcy potem, zaledwie ziemia okryła się wiosenną zielenią, wtargnęli Krzyżacy do Kujaw. Bezprawiem tem oburzeni biskupi wspólnie z Łokietkiem zaskarżyli Krzyżaków przed sąd stolicy apostolskiéj, ale Łokietek nie wiele na to rachując, postanowił wyprężyć wszystkie siły i jednym stanowczym ciosem złamać lub zachwiać potęgę zakonu. W tym więc celu zwrócił się do zięcia swego Karola Roberta Węgierskiego i Gedymina wzywając posiłków. Pierwszy nadesłał ośm tysięcy doborowego rycerstwa, drugi wystąpił z licznemi zastępami wojowników, ale gdy dla przeszkód przeprawy przez Drwęcę, Gedymin nie mogąc się doczekać Łokietka wrócił do siebie, wyprawa spełzła na niczem. Pomimo tego, siły Łokietka były jeszcze tak groźne, że krzyżacy, nie śmiejąc mierzyć się z nim w polu, pochowali się po warownych zamkach i wyjednali przekupieniem na swą stronę przewódców Węgierskich, zawarcie rozejmu, mocą którego zobowiązali się do zwrotu powiatów świeżo zagarniętych i do oddania waśni o Pomorze, pod sąd polubowny Króla Czeskiego i Węgierskiego. Ale zakon nigdy nie dotrzymujący przyrzeczeń, pragnąc tylko zyskać na czasie, jak tylko zobaczył Węgrów opuszczających Łokietka, nie czekając nawet ukończenia rozejmu, opanował Bydgoszcz. Wojna więc przewlekała się bez końca, co dla Łokietka porządkującego kraj wewnątrz, było bardzo nie na rękę, zwłaszcza że musiał się mieć na baczeniu przed Janem Czeskim nową na niego grożącym napaścią. Jakoż wkrótce bo w r. 1331, Jan podsunął się pod Poznań, a Krzyżacy z powiększonemi znacznie siłami, zdobywszy Łęczyce; poszli potem pod Kalisz, złupili Gniezno, Sieradz, Uniejów, Wartę i spalili wiele grodów i wsi okolicznych.

Łokietek nie tracący nigdy odwagi, energją dzielnego swego ducha, umiejący wydobyć się zawsze z największego niebezpieczeństwa, zebrał rycerstwo i poszedł z niem na obronę Wielkopolski. Wyprawę tę tak szybko dokonał, że Krzyżacy dopiero się wtenczas o zbliżeniu Łokietka dowiedzieli, kiedy tan stanął tuż pod ich obozem rozłożonym na równinach otaczających wieś Płowce, leżącą o milę od Radziejowa na drodze do Brześcia Kujawskiego. Równiny te zasłane mogiłami usypanemi w kształcie podłużnych kwadratów, zwanemi przez lud miejscowy Żalami a pochodzące jeszcze z przed czasów chrześcjańskich, pokrywała d: 27 Września mgła gęsta nie przejrzysta, z pośród któréj podnosiła się wrzawa rozbudzonego Krzyżackiego obozowiska. Łokietek przed wschodem jeszcze słońca stanąwszy z uszykowanem rycerstwem, dla strasznéj ciemnicy nie mógł korzystać z przerażenia Krzyżaków i hamując niecierpliwość wojowników, czekał na pierwsze promienie słońca, które rozpędziwszy mgłę, pozwoliłyby mu się lepiéj rozpatrzyć w okolicy i ułożyć plan nieodzownéj bitwy. Nareszcie nadszedł tyle upragniony wschód słońca, mgła zaczęła upadać ku ziemi, a z pośród niéj wytknęły hełmy, groźnych zastępów Krzyżackich, ustawione w ścisłych strasznych szeregach. Z drugiéj strony stały hufce Łokietka, wijąc się przed zdumionemi oczami Krzyżaków jak chmury przepełnione burzą, lada chwila mające uderzyć gradem, i zalać ulewą całą równinę. Zjawienie się ich tak niespodziewane, postawa spokojna ale pełna odwagi, widać że Krzyżaków musiało niewymownym napełnić przestrachem, kiedy według opisu Naruszewicza, waleczniejsi z Krzyżackich bojowników, żeby nieodstępując się w szykach, mogli się bronić do ostatniego, sami między sobą powiązali się łańcuchami przez pasy puszczonemi. Jak więc tylko opadająca mgła, cokolwiek się rozproszyła, Łokietek umiejący korzystać ze wszystkiego dał rozkaz do boju: szeregi zwarły się, chrzęsnęły zbroje, zabrzęczały miecze, i walczących okryły tumany kurzu mieszające się z wrzawą wojenną. Zapasy trwały kilka godzin, Krzyżacy trzymali się dzielnie, ale otoczeni do koła ulegli wreszcie poddając tył i idąc w sromotną rozsypkę. Rozpoczął się teraz już nie bój, ale rzeź i zabój, który trwając do końca wieczora, zasypał pole bitwy według ówczesnych relacji dwudziestoma tysiącami poległych Krzyżaków. Stratę hufców Łokietka liczono tylko na kilkuset.

Bitwa pod Płowcami jakkolwiek bardzo zwycięzka, nie była jednak ciosem stanowczym, i zostawione to było polom Grundwalda, na których zniszczona potęga Krzyżaków, marniejąc z rokiem każdym, w końcu znikła i Krzyżacy upadli. Łokietek nie dożył téj szczęśliwéj dla siebie chwili, a nawet przeciwnie, pomimo klęski zadanéj pod Płowcami, widział w parę miesięcy potem zajęte przez Krzyżaków całe Kujawy, i urządzanie ich jako własność na wieki przy nich mająca zostać. Niezmordowany Łokietek, z posiłkami Węgierskiemi wyruszył znowu w pole, ale wyprawa skończyła się zawarciem rocznego rozejmu i oddanie sporu pod roztrzygnięcie sądu polubownego. Układy jak zwykle przeciągały się i byłoby z pewnością przyszło do nowego boju, gdyby nie śmierć Łokietka

następiona r: 1333, który umierając przykazał synowi Kazimierzowi, aby z zakonem nie godził się dopóty, dopóki zabranych ziem nie powróci.

Tak się skończyły zatargi Łokietka z Krzyżakami, ale nieporozumienia o Pomorze, przeciągnęły się znacznie dłużéj, co kiedyś w piśmie naszym przedstawiemy.

Nowości muzyczne.

Afrykańka Meyerbeera.

(Dokończenie).

N. 19. *Chór kapłanów* ofiarników, powagą i szerokością rytmu, na scenie musi zapewne robić efekt żądany, chociaż przygrywka zwyczajnie wygląda. Kończy się krótką modlitwą do bóstwa bez akompanjamentu.

N. 20. *Arja Vaski* na tenor, jest tak piękną, że naprawdę rzadko się zdarzy usłyszyć coś podobnego z taką siłą i potęgą skreślonego. Tremolo skrzypcowe z początku zaraz towarzyszy śpiewowi, idącemu unisono z wiolonczelą czy też innym jakimś instrumentem. Jako przeważnie dramatyczna, wymaga wielkiego zasobu siły i potęgi głosu. Najniższy ton *E*, raz tylko jest użyty, za to w wyższych tonach dosięga do *B* trzy razy.

N. 22. *Arja Neluski* zaczyna się towarzyszeniem instrumentów dętych, przeplatanych recitativem. Są to efekta których umiejętności użycia, dał już nieraz dowody Meyerbeer. Wprowadza późniéj arję na śpiew przeciągły, wyrażający zranione serce Neluski tryumfem rywala cudzoziemca, a przy końcu nadaje mu więcéj ognia i mezkiéj dzielności.

N. 24. *Marche religieuse* zdaje się być ułożony we właściwéj charakterystyce, ale nie znając partycji, nic o nim więcéj powiedzieć nie umiemy.

Z wyjątków mogących obznajomić z motywami, wyszły dwa układy:

a) *Bouquet de mélodies de l'Africaine par Cramer* zaczynający się od marsza Indjan. Późniéj następuje wejście królowéj Zeliki, wstęp romansu pierwszego, arja afrykanki, chór kapłanów, duet i arja, ballada Neluski, kawatyna wielka i arjetka

b) *Fantasie de salon sur l'Africaine par Ketterer*, zaczynająca się i hucząca chórem kapłanów majestatycznym, pełnym właściwego charakteru. Fantazyjnym sposobem jest także obrobiona, prześliczna arja Vaski i ballada Neluski. Układ cały bardzo wdzięczny, i ze znanych nam dotąd najlepszy.

A. B.

POGADANKA TYGODNIOWA.

Przypowieść ludowa:

Do Świętego Ducha,
Nie zdejmuj kożucha,
Po Świętym Duchu
Chodź zawsze w kożuchu.

w tym roku sprawdza się najzupełniéj, bo miniony Czerwiec tak był chłodny, że czasami nawet kożuch by nie wadził. Z Augustowskiego donoszą o przymrozku jaki nawiedził tamtejszą okolicę z dnia 1 na 2 Czerwca, a był tak silny, że oprócz uszkodzenia zasiewów jarych, ogrodowizny i drzew owocowych, nawet dębom, świerkom, olszom i wierzbom nie pofolgował. Przybyli zaś z Galicji, przynieśli wieści o spadłym śniegu między Kałuszą, Doliną i Bolechowem i to dosyć w znamienitéj ilości.

Jako zapowiedź tego niepraktykowanego zimna, rolnicy z Augustowskiego uważali, rzadko zdarzający się w tamtéj okolicy przelot koników polnych, w dniu 25 Maja od rana aż do zmierzchu, w wysokości czterech do pięciu sążni nad ziemią a w odległości jeden od drugiego mniéj więcéj dwa łokcie. Korrespondent powiada, że stworzenia te o przezroczystych skrzydełkach, locie wdzięcznym, rzutkim i zwrotnym, w swéj podróży nie tylko nie czyniły żadnéj szkody w roślinności, ale przeciwnie przynosiły niejaką przysługę, tępieniem drobnych powietrznych żyjątek zwanych meszkami, a kotłujących się kłębami nad wierzchołkami drzew podczas pogody. Upatrzywszy takie stadko, konik szybkim pędem, rzucał się w sam środek jego, chwytał meszki jedna po drugiéj, które tak zaskoczone niespodzianie, nagle z głośnem brzęczeniem dawały hasło do odwrotu, z niesłychaną szybkością zataczając w locie najzawilsze kręgi dla zmydlenia kierunku pogoni, i tworząc ścieśnioną kolumnę, zmykały w gęstwinę drzew chroniąc się przed żarłocznym nieprzyjacielem. Koniki wtedy wzbijały się w górę i ciągnęły daléj w tajemniczą drogę. Przeloty podobne w tamtéj okolicy bywają nader rzadkie i według opowieści starych ludzi, jeden z nich odbył się w r. 1831, drugi w 1860 a ten jest trzecim jaki zapamiętali.

(Dodatek).

Na jeziorach także Augustowskich pokazały się mewy czyli wrony morskie przybyłe z Baltyku na łowy ryb rzecznych. Mają to być zwiastuni burz niedalekich, które wkrótce z wichrami i deszczami spadły na pola i zasiewy z wielkiem zmartwieniem gospodarzy. Tak więc prognostyki wyciągnięte z koników i mew sprawdziły się: widocznie zatem powstały z długich obserwacji przechodzących ustnie pokoleniami, które z czasem posłużą do utworzenia teorji zmian atmosferycznych burzy, deszczu i pogody, jaką obecnie uczeni zaprzątają się.

Podobno kiedyś w Warszawie, najmodniejsze buciki damskie były koloru *Chrzabąszcza*, że żaś moda przyczepia się do wydarzeń niezwykłych, być więc może, że w Suwałkach zjawią się sukienki z wyrobów pod nazwą *Konik polny* lub *mewa*, i naturalnym porządkiem przywędrowawszy do Warszawy, rozejdą się potem po całym kraju, a kto wie czy nie zalecą nawet do Paryża.

Miasto nasze zajęte przez parę tygodni egzaminami po gimnazjach, pensjach, szkółkach i ochronkach, wypróżnia się teraz z młodzieży spieszącéj na wsie dla zabawy i wypoczynku. Życząc im jak najprzyjemniejszéj rozrywki, tak koniecznych przy sedenterji szkolnéj, radbym bardzo, żeby i przy zabawce tak słusznie im należącéj, niezaniedbała, szczególniéj młodzież z klass wyższych od piątéj zaczynając, pożytecznego czytania dzieł, co to rozum kształcą bogacąc go wiadomościami prostującemi wiele błędnych pojęć, a serce krzepią na drogę dalszego żywota. Powiedzcie im Zacne moje Czytelniczki, że nauka i czytanie to najlepsza służba dla społeczeństwa, w którem kiedyś mają stać się obywatelami, że nauka wszystkiem jest na świecie, dawczynią szczęścia, bogactwa i wszelkiéj pomyślności o jakiéj tylko człowiek może zamarzyć, i że wreszcie nieuk, z własnéj woli jest hańbą i zakałą społeczności, która go kiedyś potrącając jak szkodliwą na drodze zawadę, wytykać będzie palcem jako trutnia, niedołęgę i pasożyta.

W przedmiocie tym rozpisywać się więcéj nie mogę; obszerniejsze rozwinięcie zostawiam Wam, wymownym zawsze gdzie idzie o piękno lub dobro.

Warszawa ciągle się smuci codziennym niemal deszczem. Modniarki zachodzą w głowę, gospodarze mlecznych i piwnych ogródków załamując ręce, Saski ogród świeci pustkami, Bilze zapewne krzywi się, a dawczynie gazowych napojów chuchają w ziębnięte palce.

Najwięcéj jednak traci, pod względem moralnego zadowolenia, ogród Botaniczny, który pod nowym troskliwym zarządem p: p: Aleksandrowicza Dyrektora i Szparmana, szybko bardzo inną zupełnie przybiera postać. Pominąwszy uporządkowanie kwater wodozbiorów z wodnemi roślinami, nowéj kollekcji róż i innych krzewów, cieplarnie szczególniéj bardzo zajmujący sprawiają widok. Kwitną w nich bowiem rośliny czepiające się ścian, żyjące nie z ziemi tylko z powietrza; z kwiatem przypominającym motyla, lub tworzącym rurki przechowujące wodę, albo wreszcie z zapachem tak cudownym że go z żadnym innym nawet porównać nie można. Ogród Saski także się przystraja.

Zimna, wietrzna i deszczowa pora, tak nieprzyjazna dla spacerów, ma nader, jak powiadają, być pożądaną dla teatrów codziennie prawie przepełnianych goniącą za zabawą publicznością. Nacisk szczególniéj bywa wielki na baletach dających podwójną widzom zabawę, bo przedstawieniem i walką o pierwszeństwo występujących tancerek.

SPŁACONY DŁUG.

I.

Już na ziemi zielono,
Niebo wiosną nas darzy,
Bocian leci ot stroną,
Aby zasiąść na straży,
U wysokiéj topoli,
Na rodzinnéj swéj roli.

Wszystko śmieje się w koło,
W słonka ciepłym promyku,
I ty piosnkę wesołą
Zanuć, Jontku chłopczyku.

—Oj! jak mi piosnkę nucić,
Gdy się serce chce smucić?
Gdy łzy trzeba ocierać,
Łzawo w niebo spozierać?

Bo sieroty zła dola,
Choć uśmiecha się rola,
Choć się zielenią drzewa,
Ciepły wietrzyk powiewa...
Dla mnie zimo i w lato,
Bo pod obcą śpię chatą,
Nie znam echa piosenki
Ni uśmiechu mateńki.

Gdy zasiędą do koła,
Na ławicach u stoła,
To sierotka zdaleka,
Tylko strawy swéj czeka.
A choć i dobrzy ludzie,
Choć jeść dadzą po trudzie,
Choć odzieją jak mogą,
Żalu mego nie wzmogą...
Lecz gdy szczęśni tak razem
Ojciec z matką i dziatwą,
Och! sierocie, obrazem
Tym, zasmucić się łatwo.

Gdy mą pracę odrobię,
Przy téj wierzbie tak sobie,
Klęczę całą godziną.
Do Boga słowa płyną,
I te łzy ot za łezką,
Tam do Boga uchodzą,
Aż pociechą niebieską
Ziemską troskę złagodzą...

. . . .

II.

—Szmerze strumyk, oj! szmerze,
I pieśń niesie w niebiosy,
A ja czemże się, czemże
Wywdzięczę za me losy?

Bóg zratował sierotę!
Dzisiaj chatę mam swoją,
Kącik ciepły na słotę,
I biedzie się ostoję.

Mam Jagusię, mą żonę,
Mam i córki i syny,
W gumnie zboże złożone,
I na zimę jarzyny.

Mam beczułki w komorze,
I zielone pastwisko,
I parobka co orze,
I sto bitych już blisko.

Dzisiaj nie tak jak kiedy,
Dni me smutnie się wleką
Dzisiaj — nie znam ja biedy,
Łzy też więcéj nie cieką.

A choć schmurzy się oko,
Choć tam w sercu się wznieci
Czasem smutek głęboko,
To wnet szybko przęleci,
Gdy ma Jagna kochana,
Przy mem sercu się snuje,
Gdy dzieciskom—oj dana!
Śpiewam: — w koło tańcuję.

Za te łaski, o Boże!
Czemże Ci się wypłacę?
Będę szukać i może
Znajdę sposób... ktoś płacze...

. . . .

III.

— Jużci znowu zielono,
Wiosna ziemię znów darzy,
Dużo zeszło lat pono,
Jontek z Jagną cóś gwarzy.

Koło stóp ich — tak oto —
Liczna dziatwą się tuli,
Wszystkich główki jak złoto,
Wszystkie jednéj matuli.

Lecz pośród téj gromadki,
Jedno różni się mało...
Znać innéj ono matki,
A spogląda tak śmiało —
I w oczach ma blask żywy,
Tak wesoło wraz skacze,
Że zawołasz o dziwy!
Choć sierota — nie płacze.

Jontek spojrzał nań z boku,
Potem wdzięczne wejrzenie,
Utkwił w jasnym obłoku,
Śląc Bogu dziękczynienie.....

. . . .

Po nad drogą gdzie stała,
Siwa wierzba sieroty,
Dziś kapliczka bielała,
W niéj tlał słońca blask złoty.

Augustyna S.

O UBIORACH

Zabawa muzykalno-kwiatowa, urządzana przez Towarzystwo Dobroczynności w Saskim ogrodzie, pod czas jarmarku Sto Jańskiego, zgromadza zwykle bardzo liczne towarzystwo, które jakby w uczczeniu celu na jaki zabawa jest przeznaczona, występuje w strojnem przybraniu, odznaczającem się czasem wytworną elegancją, a częściéj tylko świeżością połączoną z gustem pełnym wdzięku i tyle ujmującą prostotą.

Tegoroczne zebranie było bardzo liczne a przy sprzyjającéj tak rzadko pogodzie, zabawa powiodła się najzupełniéj, bo deszcz jéj nie przeszkodził i sporo grosza wpłynęło do niezasobnéj kassy Towarzystwa.

Ogólnie uważając, najwięcéj było sukien bareżowych, muślinowych i jedwabnych w kolorach popielatym, szarym, lilla i fijołkowym. Za okrycia służyły burnusy lekkie z bareżu lub muślinu, mantylki szalikowe (*écharpe*) z materjału sukni i paletociki. Między kapeluszami była wielka rozmaitość, kolor jednak biały i słomkowy pierwszeństwo trzymał przed innemi.

Najwięcéj widzieliśmy fanszoników z białéj krepy lub tiulu, przybranych blondyną i kwiatami białemi.

W miejsce małych woalek dawały się spostrzegać woalki długie na półtora łokcia z tiulu jedwabnego, zastosowane do koloru kapelusza. Woalki te tak

zwane *voile empire* były białe, różowe, zielone, szamoa i t: d: zakończone gładkim obrąbkiem lub obszyte blondynką albo szlaczkiem słomkowym.

Kapelusze okrągłe z białéj słomy brukselskiéj, otaczały główki szerokie szarfy z tiulu albo krepy z długo spadającemi końcami z tyłu. Na osobach młodych ładnie to i świeżo wyglądało, nierównie jednak trwalsza i praktyczniejsza na codzienne użycie, jest aksamitka czarna, którą też powszechnie przyjęto do kapeluszy okrągłych.

Świeżo wprowadzona moda męzkich kapeluszy kastorowych i ze słomy, wywołała konieczne następstwo noszenia włosów na sposób męzki. Skutkiem tego można było widzieć bardzo wiele panienek z obciętemi włosami zaledwie szyję zasłaniającemi.

Dla młodych nie jest to przybranie bez ujmującego wdzięku, jak jednak długo nożyczki szerzyć będą spustoszenie, w téj pięknéj naturalnéj ozdobie głowy, przewidzieć dziś jeszcze nie można. Zdaje się tylko, że gęste długie sploty pomimo mody nietknięte zostaną.

Pomiędzy sukniami odznaczała się jedwabna koloe ru lilla, garnirowana u dołu ruszą w zęby ułożoną z czarnéj gazy, przeszywana grelotkami w kształcikropel wody. Staniczek gładki, z tyłu zachodzący pod szyję, a z przodu wycięty czworograniasto i rękawy wązkie paltotowe odpowiednio były garnirowane. Beduina z czarnéj gazy z kwastami jedwabnemi ozdobionemi grelotkami i kapelusik okrągły biały marynarski z płaską główką, opasany szarfą z czarnéj gazy ze srebrnemi blaszkami, uzupełniał ubranie.

Ładna też była suknia biała fularowa w lilla rzucik ułożona w festony na białéj spódniczce batystowéj z karbowanemi falbankami. Do tego należała beduina tiulowa podwleczona w koło wstążką lilla, zakończona z tyłu kokardą z długiemi końcami i kapelusik okrągły biały przepasany szarfą z lilla gazy. Z pod kapelusza wymykały się krótko obcięte włosy ułożone w pierścienie. Broszka i kolczyki ametystowe dopełniały stroju.

Suknia z *poult de soie* koloru paljowego obszyta była u dołu wodą czyli bufą marszczoną z téj saméj materji. Stanik gładki objęty w pasie koronkowym paskiem z takąż szarfą z tyłu spadającą, zapinał się na czarne guziki. Beduina czarna z koronki *Cambray* i kapelusz czarny krepowy podpięty różą paljową, stanowiły całość ubrania.

Suknie z gęstego bareżu *fil de chèvre* i *lenosu* zrobione były z paletocikami lub szalikami. Jedne wycięte miały zęby, tak przy spódniczce jak przy paletociku, inne naszyte gładko pliski skośne na trzy palce szerokie z kolorową wypustką. Spódniczki do nich uważaliśmy z tego samego materjału.

Wiele także paletocików przystających do figury przepasują szerokim pasem z klamrą albo rozetą z wyrobu sukni.

W magazynie pana Penkali widzieliśmy ładne beduiny i rotondy z *lamy* w najlepszym gatunku tak zwanéj *terno*. Wyrób ten pod względem cienkości nie ustępuje koronce *Cambray* a przewyższa ją mocą i trwałością koloru, bo nigdy nie rudzieje. Beduina taka kosztuje od złp. 300 do złp. 500 — z grubéj lamy wynosi złp. 250. Beduina téj saméj wielkości z koronki *Cambray* kosztuje złp. 200 — cokolwiek krótsza złp. 160. Rotondy z grubszéj lamy pokazywano nam po złp. 180.

Zasługują też na wzmiankę sztuczki na suknie z *fil de chèvre*, bareżu i alpagi po największéj części w kolorze szarym i blado lilla naszyte nad obrębem w rozmaite wzory wstążką na trzy palce szeroką z perełkami czarnemi, stalowemi lub białemi. Inne suknie mają szlak wyszyty jedwabiem, łańcuszkowym ściegiem i wstążką kolorową. Na chustce lub paletociku powtarza się ten sam deseń.

Do magazynu pana Thonnesa nadeszły ładne szarfy do sukien z czarnéj i białéj wełnianéj koronki od złp. 66 gr. 20 do złp. 120. Ładne też są kołnierzyki płócienne z wyłożonemi rożkami, naszywane plecionką bawełnianą w turecki deseń, przystebnowaną w maszynie. Inne znów haftowane kolorową włóczką w małe palemki. Rękawki mają szeroki mankiet jak u męzkich koszul z naszyciem u ręki odwróconym na bok w miejscu spięcia.

Do strojnego ubrania uważaliśmy kołnierzyki złożone z samych wstawek muszlinowych lub walansienkowych. Chusteczka wszyta była w listewkę szeroką na dwa palce. Na téj listewce szły małe kawałki wszywki w blizkich odstępach, przytwierdzone z obu stron; przez środek przewleczona aksamitka, lub wstążka kończyła się z przodu kokardą.

Rękawki do tego powinny się kończyć u ręki aksamitką przepinaną wstążkami. Inny znów kołnierzyk z taką jak poprzedni wstawką miał w koło niéj przeciągniętą czarną aksamitkę, na którą wykładała się u góry wązka walansienką na palec, kokarda czarna z przodu obszyta była takąż walansienką. Mankiety opasane też były aksamitką z walansienką wyłożoną od strony ręki.

Kołnierzyki ze spadającemi klapkami bardzo używane. Do strojnego ubrania robią je ze wstawek gipiurowych i koronki, mniéj kosztowne ze wstawek muszlinowych i walansienki.

Rękawki do tego bywają przymarszczone z wpu-

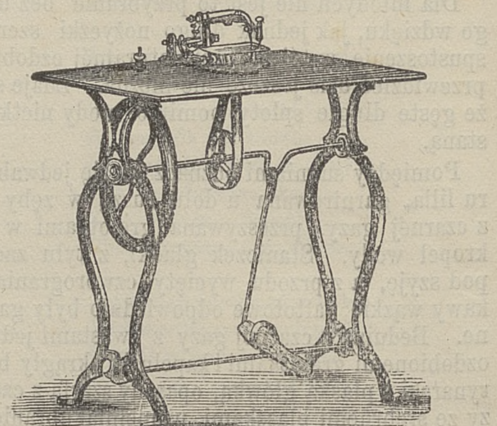
Opis deseni do haftu.

N. 1 i 2. Desenie do chustek od nosa nad gładkim obrębkiem, na haft atłaskowy i stembenek.—N. 3. Deseń na poszewkę. Liście i kontury kółek dziergane. — N. 4. Deseń do ozdoby burnusów, sukienek i t. d. na haft kolorowym jedwabiem i perełkami. — N. 5. Szlak do ściegu szydełkowego na sukienki, okrycia, spódniczki i t. d. — Kółka większe naszywają się guzikami, mniejsze perełkami z lawy albo stali. — N. 6. Deseń do wyszycia kolorowej spodniczki. — N. 7. Szlaczek do czarnego burnusa kaszmirowego. Liście haftowane jedwabiem koloru słomkowego. Kółka wypełnione perełkami lawowemi. — N. 8, 9, 10. Desenie do rozmaitego użytku. — N. 11. Trójką-

ty do ozdoby sukien z materji lub aksamitu, obszyte w koło wązką pasmanterją i kwaścikami. Trójkąty te zastosować trzeba do wielkości sukni; dla osoby dorosłéj powinny być na ćwierć łokcia długie, dla dzieci odpowiedniéj wielkości do wieku, naszyte nad obrębem sukni. — N. 12. Naszycie do sukienek dla dzieci z aksamitki, wstążeczki lub plisek jedwabnych. To samo naszycie służyć może do sukien dla osób dorosłych, ale wtenczas aksamitka powinna być na dwa palce szeroka. — N. 13. Kołnierzyk płocienny haftowany w gałązki koralowe atłaskiem. — N. 14. Mankiet. N. 15. Wzór kołnierzyka płóciennego, wycinanego w zęby. N. 16. Mankiet. — (Formę kołnierzyka i mankieta dołączamy). — N. 17 i 18. Całość kołnierzyka i mankieta w gałązki koralowe. — N. 19 i 20. Całość kołnierzyka płóciennego na którym deseń haftowany jest kolorowym jedwabiem w guście tureckim. — N. 21. Deseń na palemki do powyżéj opisanego kołnierzyka. Haftowane być mogą pąsowym i szafirowym jedwabiem z obwódką czarną. — N. 22. Deseń na wstawkę. — N. 23. Kołnierzyk i mankiet do wyszycia czarną bawełną. — N. 24. Litery T. Z. do znaczenia poszewki. — N. 25. Litery F. G. — N. 26 Garnirunek do białéj żaknotowéj spódniczki. U dołn falbanka karbowana, powyżej wstaweczka z koronki *Kluny*, dalej zakładki ze szlaku żaknotowego i znów wstawka z koroneczki. — N. 27 Suknia z lilla muślinku z odpasowanym czarnym szlakiem gipiurowym. Kapelusz z białéj słomy brukselskiéj, ubrany aksamitem czarnym i takimże piórkiem. — N. 28. Całość kaftanika rannego, którego formę dołączamy.

Opis formy kaftanika rannego, kaftanika włóczkowego którego opis i rysunek dany był w numerze 23 i kołnierzyka płóciennego wraz z mankietem.

N. 1. Przednia część kaftanika z półbatystu, nanzuku lub perkalu, może być zupełnie gładka albo złożona ze wstawek haftowanych, falbanek i drobnych zakładek jak wzór wskazuje. — N. 2. Plecy kaftanika krają się w całości. — N. 3. Połowa rękawa. — N. 4. Połowa mankieta. N. 5. Forma przedniéj części kaftanika włóczkowego, robionego na drutach lub szydełkiem, którego wzór przedstawialiśmy w Numerze 23-m. — N. 6. Połowa pleców kaftanika włóczkowego. — N. 7. Połowa kołnierzyka z dubeltowego płótna w zęby wycinanego. Gałązki haftują się czarną bawełną na pojedynczym płótnie, następnie zęby ostebnowywują się samym brzegiem i podszywają z lewéj strony walansienką, aby wycięte szpary wypełnione były koronką. — N. 8. Mankiet. — N. 9. Połowa paska do kołnierzyka powyższego. — N. 10. Połowa rękawka do mankieta. — N. 11. Deseń do wyszycia sutaszem.



Sprostowanie. W kronice zagranicznéj N. 26. powinno być w kolumnie 6, szpalcie 2-éj, zamiast *obraża* — obnaża. W kolum. 7 szpalcie 1. zamiast *mamy* — znamy.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z deseniami do haftu, oraz formami.


---

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

TYGODNIK MÓD
W. WARSZAWIE.



Lith: mécanique de D. Michelet, 6, rue du Hazard



TYGODNIK MÓD
W WARSZAWIE.
N° 1.
N° 2.
N° 3.
N° 4.
N° 5.
N° 6.
N° 7.
N° 8.
Lith. mécanique de D. Michelet, 8, rue du Hasard